Arthur C. Clarke

GWIAZDA

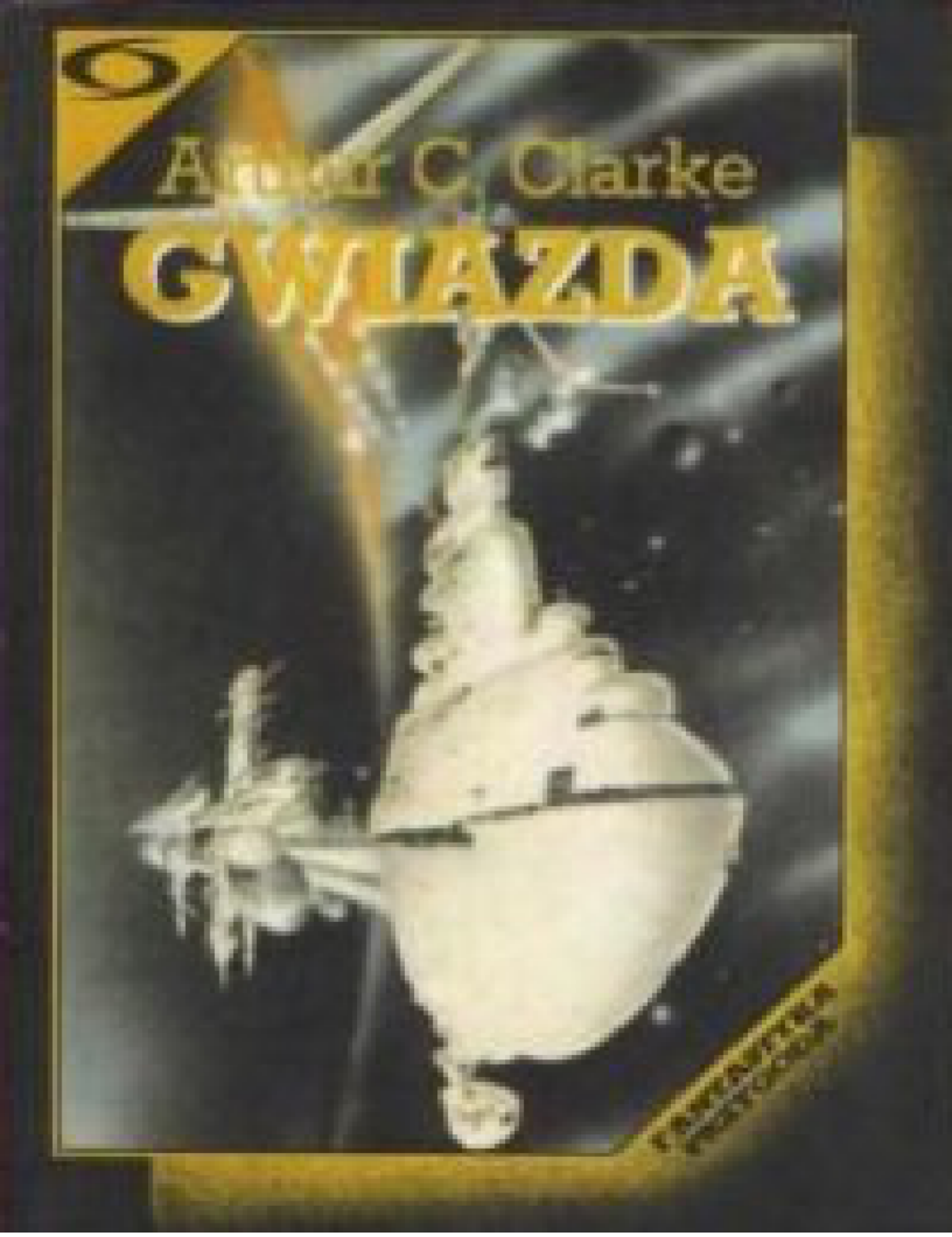

SHOUT
SHARE
IT

- Arthur C. Clarke

Arthur C. Clarke
Gwiazda

Do Watykanu pozostało trzy tysiące lat świetlnych. Niegdyś uważałem, że kosmos nie może mieć żadnego wpływu na wiarę, tak samo jak sądziłem, że nieboskłon głosi chwałę dzieła bożego. Teraz już wiem, jak wygląda to dzieło, i mam poważne kłopoty z moją wiarą. Utkwiłem wzrok w krucyfiksie wiszącym na ścianie kabiny, nad komputerem szóstej generacji, i po raz pierwszy w życiu zastanawiam się, czy on już nie jest niczym więcej jak tylko pustym symbolem.

Jeszcze nikomu nic nie mówiłem, ale ta prawda nie da się ukryć. Wszyscy mogą zapoznać się z faktami utrwalonymi na niezliczonych kilometrach taśmy magnetycznej i na fotografiach, które ze sobą wieziemy wracając na Ziemię. Inni uczeni mogą je zinterpretować równie łatwo jak ja, a nie należę do ludzi, którzy wybaczają sobie manipulowanie prawdą, czym zakon mój często zdobywał sobie złą sławę w dawnych czasach.

Załoga jest już i tak wystarczająco przygnębiona: ciekaw jestem, jak przyjmie tę pełną ironii rozstrzygającą prawdę. Zaledwie kilka osób żywi jakieś uczucia religijne, jednak nie sprawi im przyjemności użycie tej ostatecznej broni w kampanii skierowanej przeciwko mnie — w owej prywatnej i przyjacielskiej, lecz w gruncie rzeczy poważnej wojnie, jaka toczy się przez cały czas od chwili opuszczenia Ziemi. Bawi ich, że za naczelnego astrofizyka mają jezuitę: taki, na przykład, dr Chandler ciągle nie może o tym zapomnieć (dlaczego medycy są tak notorycznymi ateistami?). Czasami spotykamy się na pokładzie widokowym, gdzie zawsze panuje tak głęboki półmrok, że gwiazdy świecą pełnym blaskiem. Podchodzi do mnie w ciemności, zatrzymuje się i patrzy przez wielki owalny iluminator, a tymczasem niebo kręci się powoli dookoła nas, w miarę jak statek z wolna koziołkuje, nigdy bowiem nie zadaliśmy sobie trudu, żeby to skorygować.

— No, cóż, ojcze wielebny — mówi w końcu. — Kręci się tak zawsze i wciąż, a chyba Coś go stworzyło. Ale jak można wierzyć, że to Coś interesuje się akurat nami i tym naszym godnym pożałowania światkiem… właśnie tego. nie rozumiem.

Potem zaczyna się dyskusja, podczas gdy gwiazdy i mgławice bezgłośnie zataczają łuki w swoim nieskończonym ruchu za idealnie przezroczystym plastikiem iluminatora.

Myślę, że pozorna absurdalność mojego stanowiska dostarcza załodze najwięcej rozrywki. Na próżno powołuję się na trzy moje referaty w Dzienniku Astrofizycznym i pięć dalszych w miesięczniku Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Przypominam im, że

mój zakon od dawna słynie z prac naukowych. Może obecnie jest nas niewielu, ale od osiemnastego wieku nasz wkład w astronomię i geofizykę jest nieporównywalnie większy, niż wskazywałaby na to liczba jezuitów. Czy moje sprawozdanie na temat Mgławicy Feniksa oznaczą koniec naszej tysiącletniej historii? Obawiam się, że to koniec czegoś więcej.

Nie wiem, kto nadał mgławicy tę nazwę, ale mnie wydaje się ona bardzo nieodpowiednia. Jeśli zawiera proroctwo, to będzie można je sprawdzić dopiero za parę miliardów lat. Nawet słowo „mgławica" wprowadza w błąd: obiekt jest znacznie mniejszy od tych ogromnych chmur pyłu — tworzywa nie narodzonych gwiazd — rozproszonych po całej Drodze Mlecznej. Na skalę kosmiczną Mgławica Feniksa jest w istocie maleństwem — warstwą rozrzedzonego gazu otaczającą pojedynczą gwiazdę.

Albo to, co z gwiazdy pozostało…

Ryciną Rubensa przedstawiająca Loyolę zdaje się ze mnie drwić wisząc nad wykresami spektrofotometru. Co byś ty, ojcze, uczynił z tą wiedzą, która znalazła się w moim posiadaniu tak daleko od tej niewielkiej planety. Całego wszechświata, jaki znałeś? Czy twoja wiara oparłaby się temu, co pokonało moją?

Patrzysz w dal, ojcze, a ja zawędrowałem dalej, niż mógłbyś sobie wyobrazić, kiedy zakładałeś nasz zakon przed tysiącem lat. Żaden statek badawczy jeszcze, nie znalazł się w takiej odległości od Ziemi: jesteśmy na samej granicy zbadanego wszechświata. Wyruszyliśmy, by dotrzeć do Mgławicy Feniksa; udało się i teraz wracamy do domu, dźwigając brzemię naszej wiedzy. Chciałbym zrzucić z siebie to brzemię, lecz daremnie cię wzywam poprzez wie,ki i lata świetlne, które nas dzielą.

Trzymasz w ręku książkę, a na niej są proste słowa. AD MAIOREM DEI GLORIAM — mówi to przesłanie, ale ja nie mogę w nie wierzyć. A czy ty dalej byś w nie wierzył, widząc to, co myśmy znaleźli?

Wiemy, rzecz jasna, czym niegdyś była Mgławica Feniksa. Choćby tylko w naszej galaktyce wybucha co roku ponad sto gwiazd, które na kilka godzin czy dni rozbłyskują światłem o tysiąc razy silniejszym od ich normalnej jasności, nim na powrót zapadną w nicość i mrok. To zwyczajne gwiazdy nowe — takie kataklizmy są we wszechświecie na porządku dziennym. Podczas pracy w Obserwatorium Księżycowym sam zarejestrowałem dziesiątki tego rodzaju wybuchów w postaci spektrogramów i wykresów natężenia światła.

Ale trzy lub cztery razy na tysiąc lat występuje zjawisko, przy którym całkowicie blednie nawet gwiazda nowa.

Kiedy powstaje supernowa, jej światło jest w stanie na krótką chwilę przyćmić wszystkie słońca w całej galaktyce. Takie zjawisko

zaobserwowali w roku 1054 n.e. chińscy astronomowie, nie zdając sobie sprawy, na co patrzą. Pięć wieków później, w roku 1572, supernowa zapłonęła w gwiazdozbiorze Kasjopei tak jasno, że było ją widać nawet za dnia. W ciągu tysiąca lat, które minęły od tego czasu, nastąpiły jeszcze trzy podobne wybuchy.

Nasza misja miała za cej dotrzeć do tego, co zostało po takim kataklizmie, zrekonstruować wydarzenia, które do niego doprowadziły, a także, w miarę możliwości, ustalić jego przyczynę. Zbliżaliśmy się powoli wskroś koncentrycznych, wciąż rozszerzających się warstw gazu wyrzuconego siłą eksplozji sprzed sześciu tysięcy lat. Jeszcze teraz promieniowały ostrym fioletowym światłem i były niezmiernie gorące, lecz równocześnie zbyt rzadkie, aby mogły wyrządzić nam jakąkolwiek szkodę. Wybuch nadał zewnętrznym warstwom gwiazdy taką prędkość, że zupełnie opuściły pole jej grawitacji. Obecnie tworzyły płaszcz otaczający pustkę, w której zmieściłoby się tysiąc układów słonecznych, a w jej centrum płonął niewielki fantastyczny obiekt, w jaki teraz przekształciła się gwiazda — biały karzeł, mniejszy od Ziemi, lecz ważący milion razy więcej niż ona.

Jarzące się wokół nas warstwy gazu zamieniły głęboką noc przestrzeni międzygwiezdnej w jasny dzień. Lecieliśmy w kierunku centrum bomby kosmicznej, która detonowała przed tysiącami lat i której rozżarzone odłamki ciągle jeszcze się rozpraszały. Ogromna skala eksplozji oraz fakt, że szczątki gwiazdy uleciały w przestrzeń już na odległość wielu miliardów kilometrów, pozbawiały ten widok jakiegokolwiek dostrzegalnego ruchu. Nie uzbrojone oko dopiero po, dziesiątkach lat mogłoby zauważyć jakieś zmiany w położeniu owych spiral i pasm gazii, jednakże odnosiło się nieodparte wrażenie gwałtownej ekspansji.

Wyłączyliśmy nasz główny napęd już wiele godzin temu i teraz siłą bezwładu lecieliśmy w kierunku niewielkiej gorejącej gwiazdy. Niegdyś przypominała nasze Słońce, lecz w ciągu zaledwie kilku godzin roztrwoniła energię, która pozwoliłaby jej płonąć jeszcze przez milion lat. Teraz była skarlałym skąpcem, gromadzącym zapasy, jakby chciała naprawić błędy swej rozrzutnej młodości.

Nikt nie myślał poważnie, że znajdziemy tam jakieś planety. Jeśli nawet istniały przed wybuchem, to zamieniły się w kłęby pary. ginąc w masie szczątków samej gwiazdy. Jednak przeprowadziliśmy rutynowe poszukiwania, jak zawsze przy zbliżaniu się do niezianego słońca, i wkrótce odkryliśmy jedną niewielką planetę, krążącą wokół gwiazdy w ogromnej odległości. Musiał to być chyba jakiś Pluton układu, który zniknął, krążył bowiem po orbipie leżącej na granicy wiecznej nocy. Zbyt odległy od słońca, aby mógł poznać życie,, lecz dzięki odosobnieniu zdołał uniknąć losu swych dawnych towarzyszy.

Płomień wybuchu osmalił mu skały, spalając płaszcz mroźnego gazu. który okrywał go przed wybuchem. Po wylądowaniu znaleźliśmy Podziemia.

Zadbali o to ich budowniczowie. Stojący u wejścia słup wykonany z monolitu teraz przypominał stopiony kikut, ale już zdjęcia wykonane z dużej odległości wskazywały, że to dzieło inteligencji. Nieco później pod powierzchnią skał wykryliśmy radioaktywność układającą się we wzór o rozmiarach kontynentu. Jeśli nawet pylon u wejścia do podziemi uległby zniszczeniu, owa radioaktywność tam pozostanie jak niemal wieczna latarnia, wysyłająca sygnały ku gwiazdom. Nasz statek opadał w sam środek tego obszaru niby wymierzona w tarczę strzała.

Pylon musiał mieć ponad półtora kilometra wysokości, kiedy go wzniesiono, lecz teraz przypominał ogarek wypalonej świecy w kałuży stearyny. Przewiercanie stopionej skały zajęło nam tydzień.-ponieważ brakowało odpowiednich do tego celu narzędzi. Byliśmy przecież astronomami, a nie archeologami, pozostało więc jedynie improwizować. Zapomnieliśmy o naszym podstawowym zadaniu, ten samotny pomnik bowiem, wystawiony z takim nakładem pracy w możliwie największej odległości od skazanego na zagładę słońca, mógł oznaczać tylko jedno: jakaś cywilizacja wiedziała, że wkrótce sginie, i w ten sposób chciała zapewnić sobie nieśmiertelność.

Zbadanie wszystkich zgromadzonych w podziemiach skarbów jest zajęciem dla wielu, pokoleń. Ci, co je tam ukryli, zapewne mieli mnóstwo czasu na przygotowania ponieważ pierwsze oznaki nieuchronnej katastrofy pojawiły się na ich słońcu wiele lat przed wybuchem. Zanim nastąpił koniec, na tę odległą planetę przenieśli wszystlto, co prag wszelkie owoce swego geniuszu. W nadziei, że ktoś je odna całkrem o nich nie zapomni. Czy postąpilibyśmy tak samo zapamiętani w niedoli nie pomyślelibyśmy o przyszłości, które dane nam było zobaczyć i która nigdy by się nie stała naszym.

Żeby tylko mieli trochę więcej czasu! Swobodnie podróżowali rm planetami swego słońca, lecz jeszcze nie nauczyli się pokonywać międ gwiezdnej pustki, a do najbliższego układu słonecznego było sto lat świetlnych. Ale gdyby nawet znali sekret napędu pozaskończonego, mogliby uratować nie więcej niż parę milionów. Może to i lepiej, że tak się stało.

Byli uderzająco podobni do ludzi, o czym świadczą rzeźby, ale nawet bez tego musielibyśmy ich podziwiać i ubolewać nad ich losem. Pozostawili obfitą dokumentację wizualną i urządzenia do jej odtwarzania wraz ze szczegółowymi instrukcjami obrazkowymi, które ułatwiają poznanie ich języka pisanego. Obejrzeliśmy sporą część tego przekazu i po raz pierwszy od sześciu tysięcy lat odżyło ciepło i uroda cywilizacji, która pod wieloma względami przewyższała naszą. Pokazali nam, być może, tylko to, co najlepsze, ale trudno ich za to

potępiać. Ich planety były cudowne, a miasta dorównywały elegajicją wszystkiemu, co zbudował człowiek. Oglądaliśmy ich przy pracy i w zabawie, słuchając melodyjnej mowy sprzed wieków, Wciąż mam w oczach pewną scenę: plaża pokryta dziwnie błękitnym piaskiem, a w wodzie grupa rozbawionych dzieci, zupełnie jak na Ziemi. Brzeg porastają osobliwe, przypominające bicze drzewa, na płyciźnie zaś brodzi jakieś, bardzo duże zwierzę, nie zwracając niczyjej uwagi.

A na horyzoncie zachodzi ciągle jeszcze ciepłe, przyjazne i życiodajne słonce, które stanie się zdrajcą i unicestwi to bezgrzeszne szczęście.

Może by to nas tak bardzo nie poruszyło, gdybyśmy znajdowali się bliżej domu i nie odczuwali samotności. Wielu z nas widywało już ruiny dawnych cywilizacji na innych planetach, ale nigdy nie wstrząsnęły nami aż tak głęboko. To była wyjątkowa tragedia. Co innego zginąć w sposób naturalny, jak to się stało z wieloma narodami i kulturami na Ziemi. Ale żeby ulec tak całkowitej zagładzie w pełnym rozkwicie, u szczytu osiągnięć, w kataklizmie, którego nie przeżył nikt —jak można to pogodzić z miłosierdziem bożym?

Moi koledzy zadają mi to pytanie, a ja odpowiadam, jak umiem. Kto wie, może,ty zrobiłbyś to lepiej, ojcze Loyola, jednak w Exercitia Spiritualia nie znalazłem niczego, co.by mi w tym, pomogło. To nie byli źli ludzie i nie wiem, do jakich bogów się modlili, jeżeli w ogóle mieli jakichś bogów. Ale spojrzałem na nich poprzez wieki i widziałem, jak te wspaniałości, które uchronili resztkami sił, odrodziły się w świetle ich skarlałego słońca. Mogliby nas wiele nauczyć — dlaczego ich zniszczono?

Znam odpowiedzi, jakich udzielą moi koledzy, kiedy powrócą na Ziemię. Powiedzą, że wszechświat nie ma ani celu, ani planu, że co roku sto słońc wybucha w naszej galaktyce i dlatego w tej chwili, gdzieś w otchłani kosmosu, ginie jakaś rasa. To, czy za życia istoty te postępowały dobrze, czy źle, w końcu będzie bez znaczenia: nie ma sprawiedliwości bożej, ponieważ nie ma Boga.

Ale oczywiście to, co widzieliśmy, niczego takiego nie dowodzi. Ktokolwiek rozumuje w ten sposób, nie kieruje się logiką, lecz działa pod wpływem emocji. Bóg nie musi usprawiedliwiać swych czynów przed człowiekiem. Ten, Który stworzył wszechświat, może go zniszczyć, kiedy zechce. To pycha, to niemal bluźnierstwo mówić, co Mu wolno robić, a czego nie.

Z tym jeszcze mógłbym się zgodzić, choć tak przykro patrzeć, gdy całe planety ze wszystkimi ich mieszkańcami rzuca się na pastwę ognia. Ale przychodzi taka chwila, kiedy nawet najgłębsza wiara musi się zachwiać, i teraz, spoglądając na leżące przede mną obliczenia, wiem, że w końcu i mnie to spotkało.

Przed dotarciem do mgławicy nie potrafiliśmy ustalić, kiedy

nastąpił wybuch. Obecnie, na podstawie obliczeń astronomicznych i dokumentacji znalezionej w skałach jedynej zachowanej planety, mogę to zrobić bardzo dokładnie. Wiem, w którym roku światło tej kolosalnej pożogi dotarło do naszej Ziemi. Wiem, jak wspaniale na rozgwieżdżonym niebie świeciła supernowa, której pozostałości znikają w tej chwili za naszym rozpędzonym statkiem. Wiem, jak błyszczała na wschodzie tuż nad horyzontem, przypominając światło przewodnie o świcie, zanim wstało słońce.

Nie ma żadnych racjonalnych wątpliwości — odwieczna tajemnica została ostatecznie rozwiązana. Ale… o, Boże… miałeś przecież do wyboru tyle innych gwiazd. Dlaczego musiałeś spalić właśnie ten lud, żeby płomień jego zagłady mógł stać się symbolem świecącym nad Betlejem?